

REGIONALNE TOWARZYSTWO KULTURY  
IM. J. M. GOSLARA W KOLBUSZOWEJ

# ROCZNIK KOLBUSZOWSKI

Nr 5

ROK 2001

MAGAZYN

Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy



M006975

SYG.....2462.....

MIPBF  
w Kolbuszowej  
Książka zakupiona z funduszy  
powiatu kolbuszowskiego.

KOLBUSZOWA 2001

94 (438)

REDAKCJA:  
Zarząd Regionalnego Towarzystwa  
im. J.M. Goslara

RECENZJA WYDAWNICZA  
dr Eugeniusz Szal

REDAKTOR WYDANIA  
mgr Marian Piórek

REDAKTOR GRAFICZNY:  
Jarosław Hryczyszyn

PROJEKT OKŁADKI  
Benedykt Popek

WYDAWCA:  
REGIONALNE TOWARZYSTWO KULTURY  
im. Juliana Goslara w Kolbuszowej

ISSN - 0860-4585



94(438)-084/083:929(438)

6975

Nakład: 350 egz.

Skład, łamanie i druk: "ABAKUS", 36-100 Kolbuszowa, ul. Wiktora 21

## Spis treści

WSTĘP ..... 5

### Rozdział I

**WOJNA I OKUPACJA NIEMIECKA WE WSPOMNIENIACH  
ORAZ W RELACJACH (1939 - 1944) ..... 7**

1. Halina Dudzińska, Wspomnienia o wrześniu 1939 roku  
(w 60-tą rocznicę) ..... 9
2. Wspomnienia i relacje ..... 51
  - Tadeusz Biesiadecki ..... 51
  - Maria Grodecka, z domu Serwańska ..... 55
  - Józef Jadach ..... 57
  - Barbara Krudysz ..... 59
  - Emilia Opalińska ..... 65
  - Władysław Ozimek ..... 69
  - Jan Styga ..... 73
  - Janina Urban ..... 75
  - Franciszek Serafin, ps. "Platon" ..... 79
3. Władysław Puzio, Klęska wrześniowa 1939 roku w mojej pamięci  
i obecnej ocenie ..... 83

### Rozdział II

**W NIEWOLI ROSYJSKIEJ I SOWIECKIEJ ..... 95**

1. Adam Nowak z Lipnicy, Moje wspomnienia ..... 97
2. Józef Maziarz z Huciny, Wspomnienie z deportacji do ZSRR  
z lat 1940-1946 ..... 141
3. Maria Skowrońska - Klinke z Kolbuszowej Dolnej,  
Wspomnienie z deportacji do ZSRR /1944-1946/ ..... 145
4. Antoni Magda z Trzęsówki, Wspomnienie z pobytu w łagrach  
Związku Radzieckiego w latach 1944-1946 ..... 157

### Rozdział III

**MOJA MAŁA I WIELKA OJCZYZNA "POLSKA" ..... 171**

1. Halina Dudzińska, Rodzina Bytnarów ..... 173
2. Zdzisława Józefa Rechul - Bytnar, Moja rodzinna ulica  
- kolbuszowskie Nowe Miasto w początkach obecnego stulecia ..... 183
- Pierwsze lata Prywatnego Gimnazjum w Kolbuszowej /1911-1916/ ..... 203

### Rozdział IV

**ARTYKUŁY I RECENZJE ..... 209**

1. Anna Marut, Zarys działalności Ludowego Zespołu Sportowego  
Werynianka w latach 1946 - 1995 ..... 211
2. Marian Piórek, Dr Kazimierz Aleksander Skowroński - historyk,  
nauczyciel i regionalista /1907 - 1974/ ..... 239
3. Marian Piórek, Recenzja książki Krzysztofa Ożoga,  
Dzieje parafii Górno 1599-1999 ..... 247

biegającego zajaca, gdy brat Paweł odwoził mnie na ćwiczenia wojskowe. Miejsce to uwidocznione było resztką spróchniałej figury, na której umieszczona była Męka Pańska.

Przeszedłszy las zembrzański wyostałem się na pola dzikowieckie i doszedłem do granicy pól lipczańskich tzw. Za Szosą. Na końcu naszego pola postawiony był krzyż przez moją babkę w 1841 r. Zobaczywszy ten krzyż ukląknąłem dziękując Bogu, że dopomógł mi powrócić z tej strasznej niewoli. Podniosłem się i skierowałem się do wsi.

*Wspomnienie z deportacji do ZSRR z lat 1940-1943*

Urodziłem się w 1931 r. w Staszówce, przysiółku wsi Hucina w powiecie kolbuszowskim, w województwie łwowskim, jako pierwsze dziecko Bronisława i Agnieszki Wrażeń, rolników. Ojciec mój pochodził z powiatu mieleckiego i przyszedł do Staszówki na niewielkie gospodarstwo żony, mojej matki. W 1933 r. urodził się mój młodszy brat Kazimierz. W 1937 r. rodzice moi sprzedali gospodarstwo w Staszówce, a kupili większe gospodarstwo w osadzie Śmigłowo, polskiej kolonii, położonej w odległości 6 km od Zaleszczyk, tuż przy przedwojennej granicy polsko-rumuńskiej. Osada ta liczyła około pięćdziesięciu mieszkańców. Pojechała tam z nami babcia, matka mamy. W roku szkolnym 1938-39 zacząłem naukę w szkole powszechnej. We wrześniu 1939 r., po agresji niemieckiej na Polskę, pamiętam przejazdy Polaków, wojskowych i cywilów, a raczej ucieczkę ich do Rumunii. Około 20 września przyszła do nas Armia Radziecka. Nowe władze popierały Ukraińców, a odnosiły się niechętnie do Polaków. W szkole zaczęto uczyć po ukraińsku. 10 lutego 1940 roku przybyło do Śmigłowa wojsko czy NKWD i zabrało wszystkich jego mieszkańców do Zaleszczyk. Każdy wziął z sobą, w pośpiechu, to co mógł, trochę odzieży, pościeli, żywności. Niektóre kobiety zabrały ze sobą "głowy" maszyn do szycia, licząc że będą im one potrzebne.

Na stacji w Zaleszczykach sformowano transport Polaków z tego miasta i okolicy, mający być wywieziony do ZSRR. Załadowano ich, a wśród nich i moją rodzinę, do pociągu towarowego liczącego czterdzieści czy pięćdziesiąt wagonów. W każdym wagonie było po pięć, sześć, czy więcej rodzin. W zamkniętych wagonach, pod konwojem wojskowym, dostając raz na dzień kawałek chleba i parę łyżek zupy-wody, wieziono nas, przetrzymując godzinami na bocznicach, na Syberię. Niektórzy ludzie umierali już w drodze. Przywieziono nas do Krasnojarska, dużego miasta w środkowej Syberii. Tu, kiedy wyszliśmy wreszcie na powietrze po miesiącu jazdy w mrozie, w lodowatych wagonach, podzielono nas na grupy po 60 rodzin i rozwieziono te grupy w różne strony. Grupę, w której znalazła się moja rodzina, wieziono połowę dnia samochodem ciężarowym, a następnie trzy doby saniami w tajgę, w bezludną okolicę, do jakiegoś obozu. Umieszczono nas w jednym, dużym baraku, wszystkie 60 rodzin, kazawszy zostawić przed barakiem przywiezione rzeczy. Miało się je zostawić niby do rana. Spaliśmy na podłodze baraku, w zimnie i ciasnocie, w tym co mieliśmy na sobie. Gdy rano

wstaliśmy, nie znaleźliśmy przed barakiem naszych rzeczy. Nie można się było o nie dopytać i przepadły. W baraku, w kabinie na podwyższeniu, siedział przez jakiś czas, dniem i nocą, uzbrojony żołnierz i pilnował porządku. Nie pamiętam nazwy miejscowości, w której stał ten barak. Pamiętam, że po paru dniach wszystkich dorosłych i zdrowych wypędzono do lasu, do pracy przy ścinaniu drzew. Starzy zostawali z dziećmi. Brygady do pracy prowadzili uzbrojeni konwojenci. Pracujący dostawali dwa razy dziennie po niecałym kilogramie czarnego, ciężkiego chleba i trochę zupy. Niepracujący, to jest starsi i dzieci, nie dostawali takiego przydziału i ich krewni, pracujący dzielili się z nimi swoimi porcjami. Przez większą część roku żyło się w zimnie, a zawsze w głodzie i beznadziejności. Tak żyliśmy przez trzy lata. Ludzie szukali pożywienia gdzie mogli. W lecie jedli różne trawy, pokrzywy, zbierali ziarenka zboża. Panowała epidemia tyfusu i innych chorób. Ludzie wymierali całymi rodzinami. Nam, tam w tym baraku, umarła babcia. Pogrzebano ją, tak jak i innych, niedaleko za barakiem.

W 1941 r. zaczęła się wojna niemiecko-radziecka. W 1942 r. wobec braku siły roboczej władze obozu udzieliły więźniom przepustek i pozwoliły przenosić się do pracy w niedalekim kołchozie. Mogło tam być trochę więcej jedzenia. Moja rodzina też się tam przeniosła. Zamieszkaliśmy w jednej chacie z drugą rodziną polską, posiadającą niemieckie nazwisko Hetnar. Rodzice poszli do pracy w polu, a i ja też trochę pomagałem przy pasieniu krów.

Ojciec mój już w jesieni 1941 r. dowiedział się o tworzeniu w ZSRR Armii Polskiej gen. Andersa. Chciał do niej wstąpić, ale nie widział możliwości zabrania nas do niej z sobą. Potem żałował, że nie poszedł do niej i kiedy w 1943 r. dowiedział się o powstaniu Związku Patriotów Polskich i tworzeniu przez niego nowego Wojska Polskiego, zgłosił się do niego. Myślał, że zabierze i nas do jakiegoś większego miasta, gdzie są przedstawiciele władz polskich. Ale pojechał do tego wojska i przepadł. Nie dostaliśmy od niego żadnej wiadomości. Zostaliśmy sami z mamą przy rodzinie Hetnarów. Mama pracowała w kołchozie, pożywienie podtykała nam, o siebie nie dbała tak jak powinna i w parę miesięcy po wyjeździe ojca, na wiosnę 1944 r. zachorowała i zmarła. Było to dla mnie i dla brata straszne przeżycie. Mama miała zaledwie 35 lat. Ja i brat musieliśmy trzymać się Hetnarów. Zostałem przyjęty do pracy w kołchozie. Jeździłem koniem po chleb do niedalekiego miasteczka. Nazwy jego jednak nie pamiętam.

Potem przyszła wiadomość o zakończeniu wojny. Powracali do domów Rosjanie, byli żołnierze. Polacy, będący wywiezieni do ZSRR, pragnęli wracać do odrodzonej Polski. Organizowali się w większe grupy, starali się o przyznanie im specjalnego, ewakuacyjnego pociągu. Mieli dostać wreszcie ten pociąg. Hetnarowie suszyli chleb na drogę, zbierali nieco tłuszczu, cukru. Ja robiłem to samo. Poszedłem do naczelnika kołchozu, powiedziałem o wyjeździe, a on dał mi na drogę czerwienca, czyli dziesięć rubli. Szklanka

mleka kosztowała wtedy pięć rubli. Jednego dnia zabraliśmy się na kołchozowy samochód, jadący do Krasnojarska po jakiś towar. Przybyliśmy na tamtejszą stację, gdzie pod drzewami biwakowało dużo Polaków, oczekujących na pociąg. Nie wszyscy z nich byli ludźmi uczciwymi. Jednej nocy nie dopilnowałem mojej walizki, w której miałem dokumenty, suszony chleb i czerwienca. Ktoś mi ją ukradł. Nie mieliśmy z bratem już niczego. A tu na nasze nieszczęście podstawiono pociąg do Polski. Żołnierze wyczytywali i wpuszczali do wagonów ojców rodzin i ich najbliższych. Hetnarowie weszli do wagonu, a mnie i brata żołnierz nie wpuścił. Nie pomógł płacz i krzyk. Zamknięto drzwi wagonu i pociąg odjechał. Z bratem zostaliśmy w obcym mieście. Postanowiłem nie wracać już do kołchozu, od którego dzieliła nas daleka droga przez olbrzymie lasy. Pobyt w Krasnojarsku to nie było życie, tylko jedna wielka męka. Spaliśmy w nocy na stacji kolejowej, jedliśmy resztki, pozostawione w restauracji dworcowej przez podróżnych i podkradaliśmy jedzenie świniom, chowanym przy tej restauracji. Było tak przez trzy tygodnie. Jednego dnia zauważyła nas pewna podróżna. Była to Polka, pracująca w jakimś organie ZPP. Zabrała nas z sobą, wykapała, przebrała i wystarała się o to, że odesłano nas do polskiego Domu Dziecka, działającego z ramienia ZPP w miejscowości Porog, nad rzeką Angarą, na północ od Krasnojarska, niezbyt daleko od ujścia tej rzeki do Jeniseju. Ja, niestety, nie starałem się dowiedzieć i zapamiętać nazwiska tej kobiety, naszej dobrodziejki.

W Domu Dziecka było około sześćdziesięcioro dzieci polskich i parę ukraińskich, pozbawionych rodziców. Kierownikiem domu był pan Wróblewski, leśniczy spod Łowicza, higienistką zaś pani Mikołajczyk. W miejscowości tej, w której był dom Dziecka można było znaleźć czasem, wśród piasku, małe ziarenka złota. Pan Wróblewski wysyłał nas na poszukiwania tych ziarenek i mówił, że za nie pojedziemy do Polski. Oddawaliśmy mu wszystko, co znaleźliśmy, a pod wpływem opowiadań o Polsce budziła się w nas tęsknota za nią i nienawiść do Rosjan.

Wkrótce, bo w marcu 1946 r., nasz Dom Dziecka został ewakuowany do Polski. Jechaliśmy pociągami. W podróży mieliśmy znowu przykrą przygodę. Już za Uralem pociąg nasz stanął na stacji. Gromadka nas, ze dwudziestu chłopców, pobiegliśmy do stacyjnej studni po wodę. Jeden z naszych kolegów miał na sobie polski, wojskowy pas, pamiątkę po ojcu. Koło studni znalazł się jakiś żołnierz radziecki i chciał zabrać koledze ten pas. My go broniliśmy. Pobiliśmy żołnierza i jego kolegę, ale przyszli inni i zabrali nas na jakiś posterunek. Tam przesłuchiowano nas i nawet grożono rozstrzelaniem za napad na żołnierza w czasie pełnienia służby. My tłumaczyliśmy się i po jakimś czasie nas puszczono. Niestety, nasz pociąg już odjechał. Zostaliśmy sami na stacji. Wnet jednak jechał pociąg osobowy w tym samym kierunku, co i nasz pociąg pojechał, więc postanowiliśmy jechać nim, bez biletów i gonić nasz pociąg. Dogoniliśmy nasz pociąg po przeszło tygodniu

podróży. Po tym wypadku nasza nienawiść do Rosjan jeszcze się powiększyła. Jechaliśmy bowiem o głódzie. Zjedliśmy tyle, ile zbieraliśmy u podróżnych. A tam ludzie sami biedni, nie są chętni dzielić się z drugim.

Po miesiącu podróży przekroczyliśmy granicę polską w Brześciu n/Bugiem. Skierowano nas do Domu Dziecka w Gostyninie. Tu zajęli się nami ludzie z Polskiego Czerwonego Krzyża. Zdezynfekowano nas. Potem odesłano do miejscowości Bardo Śląskie koło Wałbrzycha i umieszczono w Domu Dziecka znajdującego się w poklasztornym budynku. Razem z bratem spędziłem tam lato. Gromada nas, chłopców, w czasie zabawy odkryła pozostawiony przez Niemców mały skład karabinów. Zostawiliśmy sobie ich kilka, a o reszcie zawiadomiliśmy milicję. Razu pewnego zaczęliśmy z tej broni strzelać do dwóch żołnierzy radzieckich. Znowu mieliśmy kłopoty i zabrano nam broń.

Tymczasem nasz Ojciec poszukiwał nas przez Czerwony Krzyż. Przeszedł szczęśliwie szlak I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki Ludowego Wojska Polskiego i zamieszkał u swojego brata w Chrzastkowie koło Mielca. Odnalazł nas i zabrał do stryja. W 1947 r. otrzymał dwa hektary pola z reformy rolnej w Orłowie, gmina Borowa. Ja poszedłem uczyć się w Gimnazjum. Po szkole średniej dostałem się na Wydział Technologii Drewna Uniwersytetu w Poznaniu. Skończyłem studia w latach pięćdziesiątych i dostałem nakaz pracy do tartaku w Długim Kącie w powiecie biłgorajskim. Pracowałem tam do 1960 r. Jeszcze w 1956 r. ożeniłem się ze Stanisławą Frask. Urodzili się dwaj synowie, Andrzej i Wiesław. Rok pracowałem w tartaku w Chmielowie koło Tarnobrzega, a od 1961 r. pracuję jako technolog w Rzeszowskiej Fabryce Mebli w Sędziszowie Młp. Mieszkam w tym samym mieście. Jestem bezpartyjny. Synowie zdobyli wyższe wykształcenie i usamodzielnili się. Z odznaczeń posiadam: Złoty Krzyż Zasługi, Medal XXXX Lecia i Odznakę Zasłużony dla Województwa Rzeszowskiego.

*Opracowała i podała do Rocznika Kolbuszowskiego  
Halina Dudzińska*

**U**rodziłam się 15 sierpnia 1921 r. w Kolbuszowej Dolnej koło Kolbuszowej, jako jedno z dzieci Ignacego i Joanny Augustyn, rolników. Miałam kilkoro starszego rodzeństwa i młodszego brata Jana. Rodzice moi wyjechali, przed rokiem 1910, na emigrację zarobkową do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a powrócili do kraju po otrzymaniu przez Polskę niepodległości. Za pieniądze zarobione w USA, kupili osiem hektarów ziemi w swojej wsi, w Kolbuszowej dolnej, przy drodze do Zarębek i zbudowali nam drewniany, rodzinny dom. W odrodzonej Polsce, w II Rzeczypospolitej, panowały inflacja i różnorodne trudności, zwłaszcza gospodarcze i Ojciec wkrótce, po urodzeniu się, w 1923 r., brata Jana, pojechał z powrotem, za pracą do USA. My, dzieci, pozostałyśmy z Mamą. Władysław, jeden z braci, urodzony w 1911 r., pomagał jej w prowadzeniu gospodarstwa. Stanisław, starszy od niego, chodził do kolbuszowskiego Gimnazjum. Wstąpił on potem do stałej służby wojskowej, ale zginął z rąk Sowietów w 1941 roku we Lwowie, gdzie pozostał po wrześniu 1939 r. Ja, skończywszy przepisana ilość klas szkoły powszechnej, także uczyłam się przez dwa lata w Gimnazjum, ale przerwałam naukę, zniechęcona pewnymi trudnościami z matematyki. Pozostałam w domu. Wnet wybuchła II wojna światowa.

W czasie wojny pracowaliśmy na gospodarstwie. W drugiej połowie wojennych lat bracia moi, Władysław i Jan, zostali członkami Armii Krajowej (AK), konspiracyjnego Wojska Polskiego, powołanego do życia przez Rząd Polski, powstały na emigracji w Europie Zachodniej. Działalność konspiracyjna w Kolbuszowej Dolnej była szeroko rozwinięta. Najpierw, prawie że od początku wojny szerzył ją Adam Rychel, starszy przodownik Polskiej Policji, od końca 1939 do jesieni 1942 komendant posterunku PP w Kolbuszowej. Mieszkał z rodziną, z żoną i dwojgiem dzieci, w naszym sąsiedztwie. W jego domu zamieszkali, w 1943 r., aktywni członkowie AK, Michał Mokrzycki "Orlik", "Bartnik", referent prasowy Komendy Obwodu AK w Kolbuszowej, oraz Tadeusz Rożek "Sawa", używający wtedy nazwiska Ościak. Ten niezwykle odważny mody człowiek, przybyły z Rzeszowa, organizował w Kolbuszowej i okolicy, akowskie grupy dywersyjne, mające wywoływać akcje antyniemieckie. Adam Rychel i jego lokatorzy wciągali mężczyzn do organizacji. W jesieni 1943 roku Adam Rychel zmarł, ale dom jego pozostał ważnym ośrodkiem akowskiej pracy. Brała w niej udział



podróży. Po tym wypadku nasza nienawiść do Rosjan jeszcze się powiększyła. Jechaliśmy bowiem o głódzie. Zjedliśmy tyle, ile zbieraliśmy u podróżnych. A tam ludzie sami biedni, nie są chętni dzielić się z drugim.

Po miesiącu podróży przekroczyliśmy granicę polską w Brześciu n/Bugiem. Skierowano nas do Domu Dziecka w Gostyninie. Tu zajęli się nami ludzie z Polskiego Czerwonego Krzyża. Zdezynfekowano nas. Potem odesłano do miejscowości Bardo Śląskie koło Wałbrzycha i umieszczono w Domu Dziecka znajdującego się w poklasztornym budynku. Razem z bratem spędziłem tam lato. Gromada nas, chłopców, w czasie zabawy odkryła pozostawiony przez Niemców mały skład karabinów. Zostawiliśmy sobie ich kilka, a o reszcie zawiadomiliśmy milicję. Razu pewnego zaczęliśmy z tej broni strzelać do dwóch żołnierzy radzieckich. Znowu mieliśmy kłopoty i zabrano nam broń.

Tymczasem nasz Ojciec poszukiwał nas przez Czerwony Krzyż. Przeszedł szczęśliwie szlak I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki Ludowego Wojska Polskiego i zamieszkał u swojego brata w Chrzastkowie koło Mielca. Odnalazł nas i zabrał do stryja. W 1947 r. otrzymał dwa hektary pola z reformy rolnej w Orłowie, gmina Borowa. Ja poszedłem uczyć się w Gimnazjum. Po szkole średniej dostałem się na Wydział Technologii Drewna Uniwersytetu w Poznaniu. Skończyłem studia w latach pięćdziesiątych i dostałem nakaz pracy do tartaku w Długim Kącie w powiecie biłgorajskim. Pracowałem tam do 1960 r. Jeszcze w 1956 r. ożeniłem się ze Stanisławą Frask. Urodzili się dwaj synowie, Andrzej i Wiesław. Rok pracowałem w tartaku w Chmielowie koło Tarnobrzega, a od 1961 r. pracuję jako technolog w Rzeszowskiej Fabryce Mebli w Sędziszowie Młp. Mieszkam w tym samym mieście. Jestem bezpartyjny. Synowie zdobyli wyższe wykształcenie i usamodzielnili się. Z odznaczeń posiadam: Złoty Krzyż Zasługi, Medal XXXX Lecia i Odznakę Zasłużony dla Województwa Rzeszowskiego.

*Opracowała i podała do Rocznika Kolbuszowskiego  
Halina Dudzińska*

Urodziłam się 15 sierpnia 1921 r. w Kolbuszowej Dolnej koło Kolbuszowej, jako jedno z dzieci Ignacego i Joanny Augustyn, rolników. Miałam kilkoro starszego rodzeństwa i młodszego brata Jana. Rodzice moi wyjechali, przed rokiem 1910, na emigrację zarobkową do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a powrócili do kraju po otrzymaniu przez Polskę niepodległości. Za pieniądze zarobione w USA, kupili osiem hektarów ziemi w swojej wsi, w Kolbuszowej dolnej, przy drodze do Zarębek i zbudowali nam drewniany, rodzinny dom. W odrodzonej Polsce, w II Rzeczypospolitej, panowały inflacja i różnorodne trudności, zwłaszcza gospodarcze i Ojciec wkrótce, po urodzeniu się, w 1923 r., brata Jana, pojechał z powrotem, za pracą do USA. My, dzieci, pozostałyśmy z Mamą. Władysław, jeden z braci, urodzony w 1911 r., pomagał jej w prowadzeniu gospodarstwa. Stanisław, starszy od niego, chodził do kolbuszowskiego Gimnazjum. Wstąpił on potem do stałej służby wojskowej, ale zginął z rąk Sowietów w 1941 roku we Lwowie, gdzie pozostał po wrześniu 1939 r. Ja, skończywszy przepisana ilość klas szkoły powszechnej, także uczyłam się przez dwa lata w Gimnazjum, ale przerwałam naukę, zniechęcona pewnymi trudnościami z matematyki. Pozostałam w domu. Wnet wybuchła II wojna światowa.

W czasie wojny pracowaliśmy na gospodarstwie. W drugiej połowie wojennych lat bracia moi, Władysław i Jan, zostali członkami Armii Krajowej (AK), konspiracyjnego Wojska Polskiego, powołanego do życia przez Rząd Polski, powstały na emigracji w Europie Zachodniej. Działalność konspiracyjna w Kolbuszowej Dolnej była szeroko rozwinięta. Najpierw, prawie że od początku wojny szerzył ją Adam Rychel, starszy przodownik Polskiej Policji, od końca 1939 do jesieni 1942 komendant posterunku PP w Kolbuszowej. Mieszkał z rodziną, z żoną i dwojgiem dzieci, w naszym sąsiedztwie. W jego domu zamieszkali, w 1943 r., aktywni członkowie AK, Michał Mokrzycki "Orlik", "Bartnik", referent prasowy Komendy Obwodu AK w Kolbuszowej, oraz Tadeusz Rożek "Sawa", używający wtedy nazwiska Ościak. Ten niezwykle odważny mody człowiek, przybyły z Rzeszowa, organizował w Kolbuszowej i okolicy, akowskie grupy dywersyjne, mające wywoływać akcje antyniemieckie. Adam Rychel i jego lokatorzy wciągali mężczyzn do organizacji. W jesieni 1943 roku Adam Rychel zmarł, ale dom jego pozostał ważnym ośrodkiem akowskiej pracy. Brała w niej udział

Władysława Rychel, wdowa po Adamie, pseudonim "Warta", wciągnięte były do niej i jej dzieci, Maria i Tadeusz, nie mający jeszcze wtedy po osiemnaście lat. Ja nie składałam przysięgi organizacyjnej, ale wiedziałam o pracy i czasem uczestniczyłam w niej, spotykając się z kolegami braci czy pełniąc rolę łączniczki. Wtedy poznałam Kazimierza Klinke, będącego do roku 1943 polskim policjantem, ukrywającego się potem przed Niemcami i Leszka Braitera, młodego przybysza do Kolbuszowej, który pracował jako instruktor w Baudeienst-cie w Świerczowie i był zapalonym akowcem, pod pseudonimem "Brzoza". W stodole Rychłów Michał Mokrzycki drukował, od drugiej połowy 1943 r., akowskie pismo "Na Posterunku", a czasem czynił to i w naszym budynku gospodarczym. Mieszkaliśmy na uboczu i miejsce było dobre na spotkania kolegów.

Potem przyszedł rok 1944. W lipcu akowcy realizowali plan "Burza", w sierpniu ziemię naszą zalała armia radziecka. Pod osłoną tej armii komuniści, inspirowani przez Józefa Stalina, obejmowali władzę w naszym kraju i przystępowali do unieszkodliwiania, do aresztowania przeciwników, zwolenników Rządu na emigracji w Londynie, członków AK i w ogóle osób, podejrzanych o posiadanie broni. Głównymi narzędziami walki władzy komunistycznej z "reakcją" były wojewódzkie i powiatowe urzędy bezpieczeństwa publicznego i posterunki milicji obywatelskiej. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego PUBP, w skrócie UB) powstał i w Kolbuszowej.

Do nas, po zakończeniu akcji "Burza", Leszek Braiter przyniósł dwa czy trzy niemieckie karabiny, automaty. Wtedy akuratnie były żniwa i bracia rzucili tę broń pod stawiany, na podwórzu, stóg sнопków zboża. Potem przyszli do nas Sowieci na kwaterę. Po jakimś czasie zakładając telefon, przesunęli stóg w inne miejsce. Znaleźli automaty i zabrali je, nikomu nic nie mówiąc.

Aresztowania akowców w Kolbuszowej ubowcy razem z funkcjonariuszami NKWD rozpoczęli w ostatnim dniu września 1944 r. W tym dniu wzięli trzech Lenartów: ojca Wojciecha, leśniczego i jego synów Jana i Stanisława, z leśniczówki pod Werynią. Wzięli i - przypało. Słuch po tych ludziach zaginął i do dzisiaj nie wiadomo, co się z nimi stało. W dniu 1 października zabrali ubowcy Władysławę Rychłową. Chcieli koniecznie ująć "Sawę". Przyszli po niego w dniu 4 października i zastali go w domu Rychłów. Uciekł, ale strzelali za nim i gdy przeskakiwał płot, dosięgła go seria z karabinu maszynowego, raniąc śmiertelnie w brzuch. Ja, na odgłos strzałów u Rychłów, niepotrzebnie tam pobiegłam. Ubowcy przyglądali mi się i zapamiętali. Przez przeszło miesiąc nic się działo. Dopiero w dniu 7 listopada trzech ubowców przyszło, po południu, do mojego domu. Zastali braci i mnie i zabrali nas ze sobą, mówiąc że nas biorą na przesłuchanie. Pogoda była wtedy jeszcze ładna. Miałam na sobie niezbyt ciepłą bieliznę i sukienkę, na nogach płytkie buty. Wzięłam kurtkę i chustkę na głowę. Bracia też byli lekko ubrani. Nie spodziewaliśmy się tego, co nas spotkało.

Szliśmy do Kolbuszowej, do budynku PUBP przy ulicy 3 Maja, dzisiaj

przy ul. Obrońców Pokoju 1, trzema parami. Najpierw mnie prowadził, pod rękę, Tadeusz Wiśniewski, Białorusin, który przybył do powiatu kolbuszowskiego w 1943 roku, jako sowiecki partyzant, skoczek spadochronowy i rozpoznawał tutejsze struktury AK. Był w mundurze polskiego porucznika. Dzisiaj wiem, że ten mundur był własnością Jerzego Marii Tyszkiewicza, właściciela kolbuszowskiego majątku ziemskiego, aktywnego akowca, który do dnia 7.11 też już był aresztowany przez UB-NKWD. Białorusin ustroił się w mundur polskiego porucznika i odgrywał Polaka. Za nami brata prowadził Stanisław Winiarski, kolbuszowianin, rówieśnik i szkolny kolega Jana, który wstąpił na służbę do PUBP w Kolbuszowej i wiernie służył NKWD, znając ludzi i pomagając ich wyłapywać. Ten Stanisław Winiarski był jedynym kolbuszowianinem, który służył w kolbuszowskim PUBP przez wszystkie lata jego istnienia. W 1945 roku przyjął on nazwisko - Dzyndra. W jesieni 1944 r. zdobył on sobie opinię wielkiego szubrawca, zbira. W trzeciej parze siedł z moim bratem Władysławem, któryś z braci Osetków, chyba także Władysław, też drań wysokiego rzędu. Wymienieni mężczyźni przyprowadzili nas do budynku PUBP i zamknęli każde z nas w innym pomieszczeniu. Jeszcze tego samego wieczoru byliśmy przesłuchiwać, też każde z osobna. Na pierwsze przesłuchanie wzięto mnie do jakiegoś dużego pokoju. Przy stole siedziało dwóch Sowieców, oficerów NKWD i dwóch Polaków - ubowców, nieznanych mi. Kazano mi usiąść na stołku, niedaleko od stołu, położono mi miednicę z wodą na kolana, a dwóch innych ubowców stanęło obok mnie po obu stronach ramion. Pytania stawiał ubowiec siedzący przy stole. Pytał mnie, jaki mam pseudonim, od kiedy należę do organizacji Armia Krajowa, jakich ludzi znam, z kim spotykam się w tej organizacji, nazywał mnie narzeczoną "Sawy", pytał się, co o nim wiem, z kim on się spotykał i gdzie, w moim domu, jeszcze jest ukryta broń? Odpowiadałam, że nie należę do organizacji, że nie mam pseudonimu, że nie jestem narzeczoną "Sawy", że o nikim nic nie wiem. Za każdą odpowiedź ubowcy, stojący obok mnie, bili mnie zaciśniętymi pięściami po głowie, twarzy i plecach. Krew pociekła mi z nosa, więc wsadzili mi głowę do miednicy, którą przytrzymywali na moich kolanach. Po godzinie czy więcej, gdy byłam już pokrzwawiona i nie mogłam mówić, ubowcy, stojący obok mnie, wzięli mnie pod rękę i zawlekli po schodach na strych budynku, gdzie nikogo nie było. Rzucili mnie na podłogę.

Na strychu spędziłam dwa tygodnie. Było mi zimno w tej mojej sukience i kurtce, no i głodno. Jako pożywienie dawano mi, raz na dzień, kawałek chleba i trochę zupy - wody w kubku. Drugie przesłuchanie, odbyte po tygodniu, było podobne do pierwszego. Powiedziałam podczas niego, że jest mi zimno. Ubowcy nie zareagowali na moje słowa, ale jeden z Sowieców przyniósł mi później, na strych, stary, cuchnący, zawszony kożuch. Brzydziłam się ale przykryłam się nim jednak, żeby było mi cieplej. Jakoś szczęśliwie nie przeziębiam się na tym strychu.

Po dwóch tygodniach kazano mi jednego wieczoru wyjść na podwó-